

A. K. GREEN.

# Dom pod szumiącymi sosnami.

(Ciąg dalszy).

8

Nie miał czasu do dalszych, choćby pobieżnych badań, gdyż usłyszał na werandzie kroki Hexforda, a zależało mu na tem, by się umieścić, nim tamten wejdzie.

Wszedłszy zatem do pokoju naprzeciw, przeszedł ku małej gromadce, stojącej w dalszych drzwiach. Widać tam było parę pustych krzeseł; Sweetwater jednak minął je, zmierzając do ciemnego kąca, skąd łatwo mógł objąć wzrokiem wszystkie pokoje na tem piętrze, zarówno wielki salon, w którym stała trumna, jak najdalszy kąt sieni służbowej.

Duchowny jeszcze nie przybył, a Sweetwater miał czas przyjrzeć się gromadce małych dziewczynek, z których każda trzymała w ręku bukietik białych kwiatów. Domyślił się, że to uczennice Miss Cumberland z niedzielnej szkółki; zauważył też, że wiele z tych dzieci musiało ją kochać.

Zaraz tuż obok siedziało kilka osób z pomiędzy krewnych i znajomych. Pomiędzy nimi był starzec bardzo podeszłego wieku, jak później się dowiedział, stryjeczny dziad zmarłej, stułetni starzec. Jedną z dziewczynek musiała mu być bliską, gdyż wyciągnął rękę i przyciągnął ją ku sobie, widząc, że łyżki spływają jej po twarzy.

Sweetwater, który w gruncie rzeczy miał serce miękkie, rozrzewnił ten objaw ludzkich uczuć w otoczeniu, jak zamrozoną grozą położenia. Popatrzył długo na dziecko, popatrzył długo na starca, zanim wzrok jego posunął ku temu wzgórkowi żywych kwiatów, pod którymi spoczywały zamordowane zwłoki i złamane serce. Nie mógł widzieć twarzy zmarłej, ale widok ten i tak sprawiał głębokie wrażenie. A może byłby wywarł na nim jeszcze większe, gdyby był wiedział, na czyją prośbę tę wiązkę białych lilii złożono na piersiach zmarłej.

Siostra chora, brat niewidzialny — Sweetwater nie mając już tu przedmiotu dla swojej uwagi, spojrział ponad głowy gości do odległej sieni, łączącej się z kuchnią.

Kilka osób nadchodziło z tamtej strony, pomiędzy nimi Zadok. Służba domowa zapewne, gdyż wszyscy trzymali się razem i stanęli razem, pięcioro ich było, dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Pomiędzy temi zauważył odrazu dziewczynę zgrabną, o bystrych, żywych oczach i wyrazistych ustach, złagodzonych miłym dołeczkiem; uderzył go rozumny i inteligentny wyraz jej twarzy. Postanowił odrazu, że tę dziewczynę musi poznać i z tą dziewczyną pogadać.

Tymczasem jednak na chwilę zapomniał o wszystkim, pod wrażeniem uroczystości chwili; ksiądz bowiem wszedł i zajął swoje miejsce, a nastrój ciszy i skupienia ogarnął wszystkich obecnych.

„Jam jest zmartwychwstanie i żywot“.

Te pocieszające słowa zabrzmiały uroczystie nad zwłokami Adeli Cumberland w tym domu, gdzie rządziła jako pani od siedemnastego roku swego życia. Sam rodzaj tragedii, która pozbawiła miasto jednej z najpożyteczniejszych obywaterek; okropny los, grozący przypuszczalnemu jej sprawcy, człowiekowi, który krążył tu po tem mieszkaniu, sięjąc dokoła siebie ten czar, któremu ulegało wielu z tu obecnych — świadomość choroby, a może grożącej śmierci w pokoju tam na górze — wszystko to czyniło to nabożeństwo dziwnie przejmującym, napało wrażliwszych uczuciem przerażającej grozy.

Sweetwater był przejęty, lecz nie przerażony. Uwagę jego zwrócił na siebie młodzieniec przystojny, nieznany mu zupełnie i wielki stopień skupienia i przejęcia się na jego twarzy.

Gdyby ta skupiona uwaga i przejęcie się skierowane były do trumny, nad którą przemawiał teraz kaznodzieja, nie byłoby to zwróciło uwagi Sweetwatera. Jednakże silne to i szczere zainteresowanie się, widocznie odnosiło się przede wszystkim do tych słabych szeptów i odgłosów, które od czasu do czasu dochodziły z góry, gdzie przy majaczącej siostrze czuwał przerażony brat z takim przejęciem, czy z takim lękiem, że o wszystkich innych obowiązkach zapomniał. Tu oto odprawiano modły nad ciałem tej, która niedługo matką mu była, a on sobie z tego tak samo nie zdawał sprawy, jak ta dziewczyna, powtarzająca wciąż swoje bezustanne, męczące „Lila! Lila!“

Detektyw, obserwując nieznanego, podzielał w pewnym stopniu jego ukryte wzruszenia i to też przygotowało go do niespodziewanego zajścia w parę minut potem.

Nikt nie przewidywał przerwy w nabożeństwie. W ogólnym skupieniu płynęły modlitwy. Padły ostatnie słowa, wzywające przyjaciół i obecnych, by ostatnie spojrzenie rzucili na twarz tę spokojną, tak słodko zdającą się uśmiechać. Sweetwater pomiędzy innymi posłuchał wezwania. Nie miał jednak wiele czasu przyjrzeć się tym rysom, gdyż teraz przystąpiły małe dziewczynki i zbliżając się po kolei, składały na martwej piersi dań swą wonnych kwiatów. Po nich zbliżyła się służba, pomiędzy którą Zadok róże swoje rozdzielił. Gdy ostatnia wiązanka padła z drżących rąk stangreta, przedsiębiorca przybliżył się, niosąc wieko i zaczekał chwilę, czy czasem kto jeszcze nie pragnie spojrzeć na zmarłą, przyłożył wieko i zaczął je śrubować.

Nagle rozległ się krzyk, a gromadka, cisnąca się koło drzwi do głównej sieni, rozstała się, gdyż na schodach rozległy się głośnie, pospieszne kroki, a do pokoju, gdzie stała trumna, wpadł młodzieniec i zbliżył się do modlącego się księdza i zdziwionego przedsiębiorcy zuchwale prawie i rozkazująco.

— Proszę to zdjąć! — zawołał, wskazując palcem na przytwierdzone dopiero co wieko. — Ja jej nie widziałem. Ja ją muszę widzieć. Proszę to zdjąć! Był to więc brat, świadomy wreszcie znaczenia tej chwili.

Ksiądz, przerażony miną i tonem intruza, odstąpił, podnosząc rękę gestem upomnienia, a drugą instynktownie zasłaniając trumnę.

Przedsiębiorca jednak, widząc wzburzenie i nakaz gwałtowny w utkwionem w siebie spojrzeniu, zrozumiał że musi się zastosować do tego szorstkiego żądania. Odkreślił przeto wieko i usunął się dyskretnie. Wtedy młodzieniec przystąpił z bliska, odsunął róże, które na twarz padły i położywszy rękę na czole zmarłej, szepnął po cichu parę słów do siebie. Uczyniwszy to, cofnął rękę i nie patrząc w prawo ani w lewo, zataczając się, poszedł ku drzwiom wpośród ogólnego milczenia.

Ksiądz potarł ręką czoło, mężczyźni poruszyli się niespokojnie, kobiety zaczęły się trwożnie oglądać, a dzieci tu i ówdzie popłakiwały, gdy w następnej chwili znów wszyscy jak gdyby skamienieli. Młodzieniec zawrócił i patrząc w twarz obecnym, wyciągnął ręce w pięści zaciśnięte. Straszny był.

— Jeżeli oni go puszczą — zawołał głośno tonem groźby — ja sam go temi oto rękami zaduszę!

— To słowo, a może krzyk, który wydarł się z niejednej piersi, przywołał go do przytomności. Z strasznym wyrazem na wykrzywionej twarzy popatrzył przez chwilę na rząd zgorszonych twarzy obecnych i cofnął się, uciekł ku schodom.

Wszyscy myśleli, że męcząca scena dobiegła tuż do końca, gdy oto nagle rozległ się głośny i ostry krzyk majaczącej, wyraźne słowa, które i dzieci nawet zrozumieć mogły:

— Otwórzcie, mówię! otwórzcie i przekonajcie się, czy serce jej jest tam!

Nazbyt to było okropne. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy zerwali się i wybiegli na ulicę, tłumiąc okrzyki trwogi i przerażenia. Napróżno ksiądz głos podnosił, wołając o uszanowanie dla zmarłej; mimo wezwań jego i upomnień, opustoszały pokoje. Tylko stary dziadek pozostał i małe dziewczątko. Tulił ją do drżących kolan, pocieszając i tłómacząc.

Zamknięto trumnę i wyniesiono ją, a w mrocznych pokojach zaległa pustka i cisza, przerywana jedynie słabo lecz ciągle powtarzaniem imieniem tej, którą stąd już na zawsze zabrano:

„Lila! Lila!“

## XIII.

### TU MAMY TO, CZEGO NAM TRZEBA.

Sweetwater, choć poruszony tą sceną, nie stracił panowania nad sobą i nie zapomniał o swych obowiązkach.

Od jednego spojrzenia zauważył, że ten nieznanemu, którego obserwował, choć równie był zdziwiony jak inni, sceną, którą zaszła, głębiej ją jednak odczuł i zupełnie odrębnie. W wzruszeniu jego nie było strachu, nie było też zabobonnego lęku. Coś głębszego i poważniejszego zamroczyło jego spojrzenie i rumieniec wywołało mu na twarz.

Sweetwater w chwili ogólnego poruszenia baczył także na to, jakie wrażenie zachowanie się młodego Cumberlanda zrobiło na służbie.

— Lepiej go oni znają od nas — myślał w duchu — co oni myślą o jego słowach, co oni myślą o nim?

Nie tak to łatwo było poznać, jak tego gorliwy detektyw pragnął. Jedno z nich tylko okazało proste wzruszenie, a mianowicie kucharka. Była to katolicka i zgorszyła ją do głębi świętokradztwo, którego była świadkiem. Nie można się było omylić co

do jej uczuć. Ale uczucia dwóch drugich kobiet bardziej były złożone.

Podobnież i u mężczyzn. Zadok zwłaszcza śledził każdy ruch młodego swego pana z wyraźną niechęcią; o młodo nie zerwał się i nie wyprostował z wstrętem i oburzeniem, gdy ręka młodzieńca dotknęła czoła tej, nad której losem, sam sobie się dziwiąc, potrafił łyżki wylewać. Może jakaś osobista niechęć leżała tu na dnie, a może tajemna znajomość człowieka, którego dotknięcia umarli nawet lękać się zdawali...

A kobiety! Czy nie pod wpływem tego samego wrażenia dwie młodsze spuściły oczy i chwyciły się za ręce, wstrzymując się od krzyku, a potem szepem zamieniły słów kilka? Sweetwater wieleby dał, byleby szept ten mógł słyszeć...

Na razie trudno było wiedzieć; nie tracił jednakże nadziei, że niebawem zrozumie, te dziewczęta przynajmniej. Jakkolwiek tak brzydkie, ufał sobie, że lubią go kobiety. Mniej pewnym czuł się wobec mężczyzn; czuł też, że jeszcze niejedna trudność i może niejeden krok nieudany czeka go w stosunku do skrytego i małomównego Zadoka.

— Jednakże mam przed sobą cały długi wieczór — pocieszał się spokojnie. — Żeby było, gdybym do tego czasu nic z nich nie wyciągnął.

Ostatnią rzeczą, którą zauważył, zanim nieludzki krzyk Karmeli wypędził przerażonych gości z domu, była obecność dr. Perry w małym przyległym pokoiku; siedział tam, niewidziany przez nikogo, wobec tego jednak, co się działo, zbliżył się i stanął w progu. Co z twarzy tego najlepszego przyjaciela rodziny wyczytał młody detektyw, z tem się przed nikim nie zdradził, sam jednakże uspokoił się jakoś, choć urzędnik usunął się i już się nie ukazał więcej, mimo że pochód żałobny wyruszył w drogę.

Było ułożonem, że służba cała ma jechać na cmentarz; tak się też stało, pomimo ogólnego zamieszania. Sweetwater rad widział ich odjeżdżających, gdyż to mu dawało upragnioną sposobność. Wyszedł ze swego kąca, odszukał, Hexforda i zapytał go, kto został w domu.

— Dr. Perry, Mr. Clifton, młody prawnik, Mr. Cumberland, chora jego siostra i pielęgniarka.

— Mr. Cumberland! To on nie pojechał na cmentarz?

— Po tem, co zrobił?

Sweetwater wzruszył ramionami i przemówił niby obojętnie:

— Co to można wiedzieć! Gdzież on teraz jest? Jak pan myśli? Na górze?

— Tak. Spędza cały czas w małej alce na przeciw pokoju siostry. Nie chcą go wpuścić, bo boją się, żeby to nie zaszkodziło chorej; to też siedzi tam, jak panu mówię i nic nie robi, nasłuchuje tylko każdego dźwięku, który z pokoju dochodzi.

— Czy jest on tam obecnie?

— Tak, i drży jak liść. Przechodziłem chwilę temu koło niego i zauważyłem to sam.

— Gdzie jest jego pokój? Czy naprzeciw alki?

— Nie. Idąc bocznymi schodami, możesz się pan tam wsunąć i nikt cię nie zobaczy. Sędzia Perry i Mr. Clifton są we frontowym pokoju.

— Czy boczne wejście zamknięte?

— Nie.

— Proszę, zamknij je pan. Tylne, naturalnie, zamknięte.

— Tak. Tego już dopilnowała kucharka.

— Potrzebuję kilku minut spokoju i samotności. Pomóż mi pan, panie Hexford! Jeżeli dr. Perry nie da ci rozkazów, stań, proszę na górze i ostrzeż mnie, gdyby Mr. Cumberland miał opuścić swoje stanowisko, albo pielęgniarka swoją pacjentkę.

— I owszem. Ale ja byłem w tym pokoju i nic tam nie znalazłem.

— Ja sam nie wiem, czy ja tam pójść. Zresztą zobaczę jeszcze.

W pięć minut później zniknął i nawet sam Hexford przez jakiś czas nie wiedział, gdzie się podział.

— Panie dr. Perry, czy mógłbym z panem parę słów?...

Sędzia odwrócił się szybko. Przed nim stał Sweetwater, ale nie tensam Sweetwater, z którym kilka godzin temu rozmawiał w swoim urzędzie. Ta osobistość wyglądała zupełnie inaczej. Chociaż nie rysów zmienić nie mogło, nieharmonijne linie w tej chwili nie raziły oka; a niespokojny, głęboko stroskany urzędnik, do którego mówił, widział tylko gorliwość i spokojną inteligencję, jaką wyrażały.

— To nie potrwa długo — dodał, spojrzawszy na Mr. Cliftona.

Dr. Perry skinął głową, przeprosił prawnika i poszedł z detektywem do małego pokoiku, który